

FAKTY

85-105 BYDGOSZCZ
Stary Rynek 15/21

wydanie

1 0

1 2 -03- 83

Nr

z dn.

List z Gdańska

MONIUSZKO, LUTOSŁAWSKI...

Na premierę Moniuszkowskiej „Halki” czekaliśmy w Gdańsku długo. Już bardzo dawno ta czołowa opera polska została wycofana z repertuaru Opery Bałtyckiej, dość dawno też, bo jeszcze wiosną ub. roku, oglądaliśmy na gdańskiej scenie operowej ostatnią premierę — „Eugeniusza Oniegina” Piotra Czajkowskiego. „Halka” miała też być pierwszą pozycją zrealizowaną w Operze Bałtyckiej od czasu, kiedy dyrekcję artystyczną teatru objął Bogusław Madey, zrozumiałe więc, że jeszcze przed premierą zainteresowanie przygotowywanym przedstawieniem było duże. I wydaje się, że przy wszystkich mankamentach przedstawienia, których z braku odpowiedniej obsady we wszystkich chyba naszych teatrach operowych uniknąć nie

sposób — ci, którzy wybrali się na „Halkę” nie pokałowali. Pozytywy obecnej realizacji gdańskiej zdecydowanie przeważają nad tym, co może budzić słowa krytyki.

Zasadniczą trudnością, przed którą stanął kierownik muzyczny przedstawienia Bogusław Madey było obsadzenie partii tytułowej. Wiadomo jak trudna wokalnie jest rola Halki. Jak niewiele śpiewaczek może Halkę zaśpiewać i równocześnie przekonywająco zagrać na scenie. Po sporych wahaniach rolę tę powierzono studentce gdańskiej Akademii Muzycznej Bożenie Szaryt-Piątek. I był to chyba wybór trafny. To prawda, że śpiewaczka nie dojrzała jeszcze do pokonania wszystkich trudności tej partii, że głos jej to nie sopran dramatyczny o potężnym wolumenie i, że szczególnie w wysokim rejestrze, szwankowała u niej czystość intonacji. Ale trzeba przyznać, że jej Halka miała w sobie wiele uj-

mującego, dziewczęcego wdzięku, a i śpiew w niejednym momencie mógł się podobać. Świetnie zagrała w tym przedstawieniu orkiestra, Bogusław Madey potraktował partię orkiestrową symfonicznie, pozwolił orkiestrze na grę swobodną, nie naginał jej brzmienia do zakorzenionych w operze przyzwyczaję, w myśl których orkiestra ma jedynie akompaniować śpiewakom. Reżyser Hanna Chojnacka starała się dramat Halki odczytać bardziej współcześnie, ukazać nie tyle jego wydźwięk społeczny, co ogólnoludzki — osamotnienie oszukanej i pokrzywdzonej dziewczyny. To było chyba w tej reżyserii całkowicie czytelne. Można by oczywiście wskazać tutaj szereg scen kontrowersyjnych, zbyt powikłanych, trzeba jednak przyznać, że dzięki Chojnackiej był to od początku do końca teatr muzyczny i nic nie pozostało z operowej sztampy i bezruchu. Najmocniejszą stroną przedstawienia była scenografia autorstwa Mariana Kłodzieja. Nie powstydziliby się jej żaden z renomowanych europejskich teatrów operowych. Nie sposób opisywać całą grę kształtów i kolorów na scenie, wspomnę tylko, że akt I i II rozgrywał się na tle wspaniałego malowidła przedstawiającego staropolskiego poloneza, a nawiązującego po części do arrasu wawelskiego, po części zaś do rokokowego gobelinu, zaś akt III i IV wkomponowany był w stylizowane elementy góralskiej architektury.

Góralszczyzna zagościła zresztą ostatnio na obu scenach muzycz-

nych Trójmiasta. Nieco wcześniej bowiem gdyński Teatr Muzyczny wystawił popularną śpiewogrę Ernesta Brylla z muzyką Katarzyny Gaertner „Na szkle malowane”. Było to przedstawienie pełne życia, kolorowe, roztańczone i rozśpiewane. W przeciwieństwie do wielu dotychczasowych inscenizacji, gdzie muzykę po części odtwarzano z taśmy, w Gdyńskim Teatrze Muzycznym całość wykonana została na scenie, a najlepiej wypadły fragmenty chóralskie, w których wielkość i wszechstronność śpiewającego i tańczącego zespołu budzić mogła prawdziwe uznanie. Reżyser i choreograf Jan Uryga świetnie rozwiązał II część tryptyku — „o miłości Janosika” — zresztą i w całości było szereg świetnych scen. Podobać się mogła scenografia Adama Kiliana przedstawiająca wnętrze góralskiej izby, dwupoziomowa, teatralnie bardzo funkcjonalna. Świetne były kostiumy, niektóre z nich, jak Anioła, Diabła czy Śmierci wręcz decydowały o ustawieniu postaci w całym przedstawieniu.

Po długiej serii niedobrych koncertów na początku sezonu orkiestra Filharmonii Bałtyckiej dała ostatnio kilka produkcji stojących na wyższym poziomie. Najlepsze były koncerty pod batutą Bogusława Madeya — koncert poświęcony muzyce Szymanowskiego i Dworzaka, wykonanie Koncertu na orkiestrę Lutosławskiego, koncert, na którym słuchaliśmy Fantazji „Romeo i Julia” Czajkowskiego, czy wręcz koncert poświęcony utworom Brahmsa, który poprowadził Amerykanin Ja-

mes Tuggle. Nie wiem jednak czy zły początek sezonu, czy też odejście niektórych muzyków sprawiło, że nie jest to już ten zespół co przed rokiem. A uważano wówczas, że orkiestra Filharmonii Bałtyckiej to jeden z czołowych zespołów symfonicznych w kraju.

Doskonale natomiast dzieje się w orkiestrze kameralnej Wojciecha Rajskiego. Co miesiąc zespół koncertuje w sopockim Grand Hotelu, miewa też koncerty w Gdyńskim, a także w innych miastach województwa gdańskiego i elbląskiego. Pomimo dość częstych wояży zagranicznych koncerty te odbywają się regularnie i każdy z nich prezentuje wysoki poziom. Nieczęsto słyszy się takie wykonanie Divertimenta D-dur K. V. 136 Mozarta, jakie zaprezentowali muzycy na ostatnim koncercie. Naturalna śpiewność każdej frazy, lekkość i swoboda gry szły tutaj w parze z zespołową wirtuozerią porównywalną do tej, jaką prezentuje orkiestra Maksymiliana. Niektóre z utworów prezentowane przez zespół ostatnio, jak choćby „Apollo i muzy” Strawińskiego czy VIII Kwartet smyczkowy Szostakowicza były prawdziwymi kreacjami. Kiedy orkiestra powstawała los jej był niepewny, dziś nie powinno już być wątpliwości co do celowości utrzymywania tego zespołu.

ANDRZEJ ZAWILSKI